

Libia płonie, czyli Kaddafi w opałach

23 lutego 2011

Jednym z ostatnich liderów świata muzułmańskiego do końca popierających Hosniego Mubaraka był pułkownik Muammar Kaddafi. Posiadał rozeznanie w nastrojach tłumu i doskonale zdawał sobie sprawę, czym może skończyć się dla niego obalenie Mubaraka. System w Egipcie się na razie nie zmienił, w planach jest jego ewolucja, szyja ta sama, zmieniła się za to głowa. Mubarak nie ma już nawet formalnie władzy, a media ogłosiły sukces "rewolucji 25 stycznia". Opozycja szykuje się do partycypowania we władzy, Waszyngton spogląda na to wszystko z niepokojem. Teraz "arabska ulica" zapragnęła głowy Kaddafiego. Sytuację w Libii relacjonuje, już niemal tradycyjnie, katarska Al-Jazeera.

LIBIA A EGIPT

Muammar Kaddafi rządzi Libią od 42 lat, czyli o 12 lat dłużej niż Mubarak piastował stanowisko prezydenta Egiptu. Jednocześnie, jest bardziej zdeterminowany by utrzymać władzę, a przede wszystkim – wygląda na to, że zamieszek się spodziewał. Działania reżimu egipskiego, w porównaniu do tego, co robi Kaddafi, wydają się niemal wzorowe. Armia stanęła na wysokości zadania, spełniono podstawowe żądanie tłumu (ustąpienie Mubaraka) i o ile nie udało się uniknąć rozlewu krwi, o tyle nie sposób porównać tego do informacji, jakie z Libii przekazuje m.in. Human Rights Watch o bombardowaniach, ciężkiej artylerii i strzelaniu po pogrzebach.

Na egipskich wojskowych również łatwiej było naciskać, zwłaszcza Amerykanom i Unii Europejskiej. Po pierwsze, kraj ten jest odbiorcą amerykańskiej pomocy wojskowej, oscylującej w granicach około 1,5 miliarda dolarów rocznie, po drugie, w związku z pierwszym, egipscy generałowie są nastawieni na

utrzymanie decydującego znaczenia armii w Egipcie jako państwa w państwie, wcale im się do destabilizacji regionu nie spieszy i prezydenta Mubaraka spokojnie mogli poświęcić, a po trzecie, protesty wywołały odpływ turystów, co w perspektywie czasu, byłoby zabójcze dla gospodarki Egiptu. Kaddafi jest dużo mniej przewidywalny.

„MĘCZENNIK” KADDAFI W ODWROCIE?

Kaddafi robi wszystko, aby utrzymać się przy władzy – w przeciwieństwie do Mubaraka i Ben Alego z Tunezji, nie patyczkował się i od razu nakazał utopić demonstracje („rewolucja 17 lutego”) w morzu krwi. Protestujących postanowił po prostu wystrzelać jak kaczki z lądu (artyleria) i powietrza (samoloty), zorganizował również swoich „zwolenników” i doprowadził do ich starcia ze swoimi przeciwnikami. Pojawiła się również informacja – jednak trudno ją potwierdzić – o wykorzystaniu przez pułkownika najemników, którzy strzelaliby do ludzi po pogrzebach kolejnych ofiar. Wytłumaczenie takiego postępowania jest proste – bezduszny najemnik, najczęściej już opłacony, wykona swoje zadanie bez mrugnięcia powieką. Żołnierze mogą nie tylko się wahać, ale i zwrócić przeciwko swojemu liderowi, co już ma miejsce.

Libijczycy ostrzeliwania własnego państwa na pewno już Kaddafiemu nie wybaczą. Pułkownik traci kontrolę nad sytuacją, a wojsko nie jest wobec niego karne i gdzieś tam przechodzi na stronę demonstrujących (w Egipcie żołnierze do końca pozostali karni). Kaddafi twierdzi, że prowadzi operacje antyterrorystyczne, wymierzone w islamistów, „nafaszerowanych narkotykami”. Trudno jednak uwierzyć w to, aby nawet jego zwolennicy uwierzyli w tę propagandę, zwłaszcza, iż sam wygląda, jakby miał kontakt z niektórymi substancjami chemicznymi. Kolejni dyplomaci i ministrowie odchodzą od Kaddafiego – ostatnio zrobił to (były już) minister spraw wewnętrznych, generał Abdul Fatah Younis. Poparł on jednocześnie demonstrantów. Część Libii jest już poza kontrolą Kaddafiego, w tym drugie pod względem wielkości miasto,

Bengazi.

Pułkownik jednak nie traci rezonu (może to ten wpływ substancji chemicznych?) i zapowiedział, iż gotowy jest zostać "męczennikiem" i nie ustąpi. Jeżeli lojalna wobec niego, jak dotąd, część armii również przejdzie na stronę demonstrantów, Kaddafi zostanie tylko z ewentualnymi najemnikami i jego koniec jest bliższy niż dalszy (już pojawiają się spekulacje o wyjeździe do Wenezueli). Gorzej, jeżeli część wojska utrzyma lojalność i gotowość do zabijania współobywateli, bo to może oznaczać nawet wojnę domową.

ZMIANY, A CO POTEM?

Tradycyjnym problemem arabskich rewolucji jest brak ich organizacji. Gromadzą się wokół hasła "tak dłużej być nie może", ale są to ruchy wyglądające na spontaniczne. W przypadku Libii powstaje identyczne pytanie, jak w Egipcie – co, jeśli uda się zmusić Kaddafiego do odejścia, czy zabić (co również należy uznać za jak najbardziej możliwe)? To nic dziwnego, że w państwach zarządzanych autorytarnie istnieje problem z organizacjami charakterystycznymi dla społeczeństwa obywatelskiego, ale to jest właśnie miejsce i czas, w którym szansę wykazania się mają Stany Zjednoczone i Unia Europejska.

Trzeba też zauważyć, że "wiatr" zaczął wiać w żagle Obamy. Podczas wydarzeń w Egipcie, znajdował się w defensywie i ewidentnie nie wiedział, jak zareagować. Z jednej strony, mógł poprzeć Mubaraka, zdyskredytować swoje słynne "przemówienie kairskie" i długofalowo zaszkodzić amerykańskim interesom w regionie, a z drugiej, poprzeć protesty ryzykując stabilność na Bliskim Wschodzie. Amerykanie działali więc zakulisowo, dążąc do zabezpieczenia swoich interesów, wymiany głowy, a nie szyi i ewolucji. W końcu Obama "oficjalnie" przyłączył się do "rewolucji 25 stycznia", aby nie tracić punktów. Wygląda na to, że wilk syty i owca cała.

Karta się teraz odwraca, bo popieranie ewentualnych zmian w

Libii jest na rękę Amerykanom, których już oczywiście Kaddafi skrytykował. Identycznie ma to miejsce w Iranie, ale tam opór przeciwko reżimowi jest jak dotąd znikomy i nieskuteczny. Dla Obamy to trochę jak gra w ruletkę, bo trudno przewidzieć, które państwa mogą zapłonąć i czy będą to jego sojusznicy czy przeciwnicy.

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)